№ 38.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Warszawa, dnia 8 (20) Września 1871 roku.

WŁADYSŁAW ANCZYC.

(Dokończenie).

Chwila przyjazdu do Warszawy była dobrze wybrana. Wówczas właśnie ruch literacki odżywiał się z chwilowego uśpienia, powstawało kilka nowych pism, wydawcy się krzątali, publiczność chciała czytać i chętnie przyjmowała co jéj podawano.

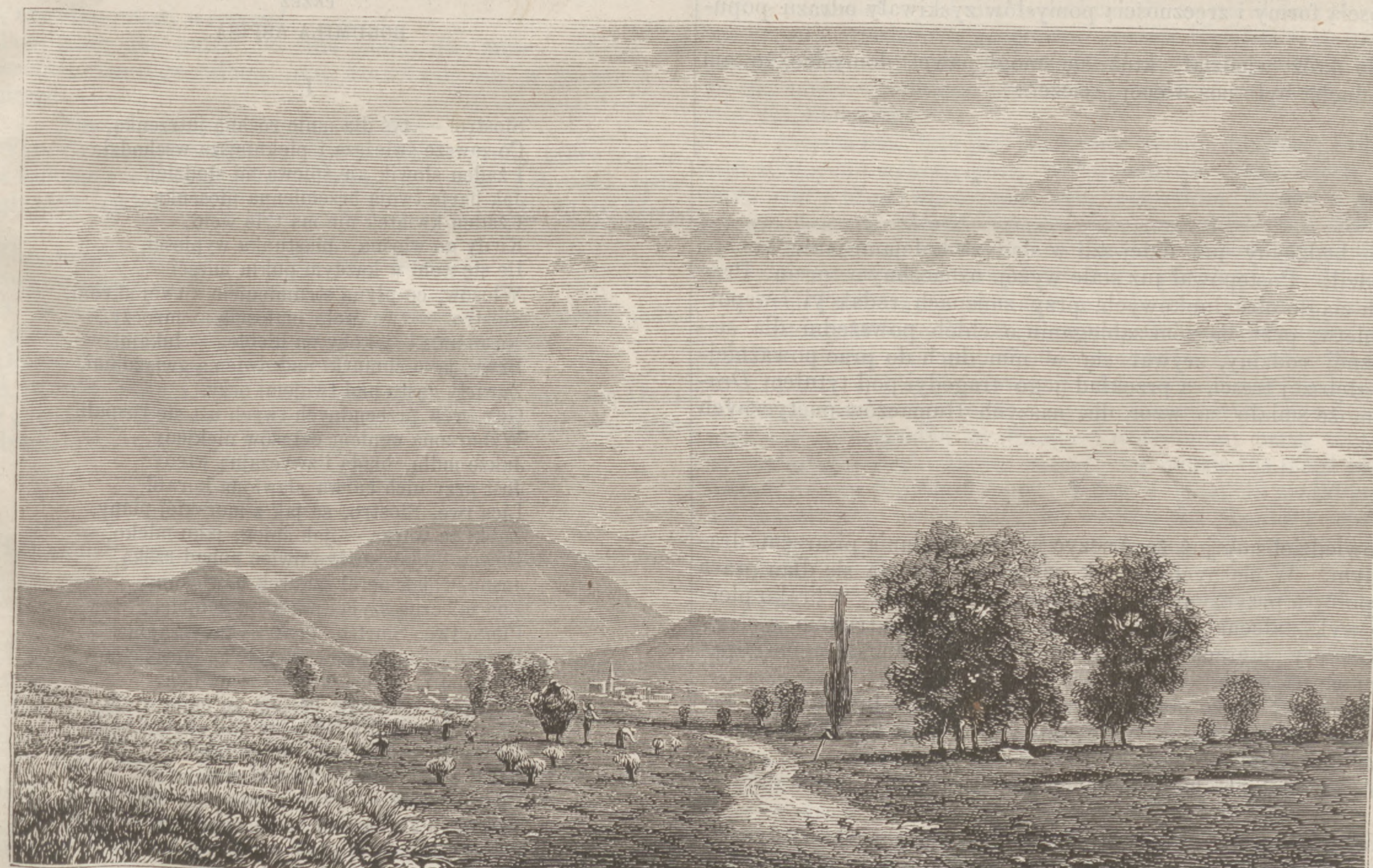
Pomiędzy temi swieżemi publikacyami torowało sobie drogę pismo illustrowane humorystycznéj treści i żywotnego zakroju. Zatytułowano je „Wolne Żarty."

Była to dla Warszawy nowość w formie i treści, a około redakcyi gromadziła się znaczna liczba młodych współpracowników, żądnych sukcesów na téj łatwéj napozór drodze. Mówimy napozór, bo już przy wstępie niniejszego artykułu wypowiedzieliśmy zdanie o humorystach tutejszych i o ścieśnioném kółku na jakiém ograniczać muszą swoję działalność.

„Wolne Żarty" jednak odznaczały się wyjątkowo werwą i świeżością pomysłów. Jeden się znużył, przychodził drugi; ciągle się tam współpracownicy zmieniali, a działano ławą, więc wspólnemi siłami pchać taczkę humorystyczną łatwiéj jakoś było.

Pomiędzy innymi wyróżniać się zaczął bezimienny autor, którego artykuły odznaczały się świeżością pomysłu i tym dowcipem tryskającym ze źródła co to kole a nie rani. Poczęto się dopytywać kto to taki i wówczas pierwszy raz nazwisko Anczyca zabrzmiało na bruku Warszawskim.

Znano już tu „Łobzowian" i „Chłopów arystokratów" więc młody turysta wybierający się w podróż literacką miał pasport dobrze zawizowany. Wprędce zyskał sobie rozgłos i wzięcie. Gdzie tylko pragniono ożywić pismo jakim poczytnym artykułem, tam wszędzie Anczyc otrzymywał obstalunki. Otrzymał współpraco-



POKÓJ.

Kopia obrazu Świeszewskiego, z Wystawy Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

wnictwo stałe w Tygodniku Illustrowanym, ofiarowano mu redakcyę Kmiotka i Wędrowca. Księgarze zamawiali różne roboty u tego niestrudzonego pracownika.

Byt miał więc już zapewniony, ale jakim kosztem?

O pisaniu dla sceny ani już myśléć nie można mu było. Gdzież znaleść czasu na to? Pisanie dla sceny nie opłaca się dla naszych autorów. Żeby pisać i wyczekiwać na przedstawienia przez kilka lub kilkanaście lat nieraz opóźniane, trzeba być bogatym w czas i pieniądze. Anczyc zaś ani jednego ani drugiego nie miał do zbycia. Ten więc autor dramatyczny z krwi i ducha musiał się ograniczać na sfabrykowaniu od czasu do czasu jakiego libretta obstalunkowego. Nie miał czasu ani patrzéć w życie ani czerpać z niego. Trzeba było przedewszystkiém wywiązywać się z obstalunków chwilowych.

Ta więc zabijająca robota łokciowa zwaliła się jak góra na bardzo nieszczęśliwego pisarza. Działo się z nim tak jak z wielu innymi; rzemiosło zabijało literaturę, myśl wysychała pod wysiłkiem, siły wątlały na codziennéj, fabrycznéj prawie pracy. Utalentowany pisarz przemieniał się powoli w prostego robotnika literackiego.

* * *

Ale qui scit co za górą, mówi jedna z tych charakterystycznych postaci, które Chodźko tak dzielnie przedstawiał. Anczyca znano jako autora udatnych komedyjek, jako satyryka, który z potrzeby potrafi być humorystą, jako zdolnego pisarza umiejącego wyłatać i feljeton i powiastkę i szkic i rozprawkę i wogóle każdy artykuł za który dobrze zapłacą, jako sprytnego redaktora, potrafiącego przywabić a nawet przytrzymać czytelników z różnych sfer społeczeństwa, jako wreszcie twórcę dowcipnych wierszyków, które łatwością formy i zręcznością pomysłów zyskiwały odrazu popularność.

Ale któż wiedział, któż się mógł nawet domyślać, że tam w głębi ducha było coś więcéj jeszcze?..

* * *

Nie będziemy już daléj szli w ślad za kolejami jakie Anczyc przechodził. Postępował już stale wyżéj oznaczonym torem. Przy robotach ciągle obstalunkowych, przy zmianach redakcyi i współpracownictw, przy ciągłém zabieganiu o chléb powszedni dla siebie i licznéj rodziny, zrywał się w nim duch do prac poważniejszych i głębszéj treści, a przekład jego tragedyi pod tytułem *Drahomira* może śmiało za wzór dla naszych tłumaczów poetycznych posłużyć.

* * *

Powiedzieliśmy już że Anczyc jest z powołania pisarzem dramatycznym. W ciasnych jednak szrankach zwarła się dlań praca na tém polu, a przyczyny tego głównie szukać należy w braku pierwotnym wykształcenia, które musiał sobie ciężkim trudem w ciągu swojéj karyery literackiéj zdobywać i w zbyt jednostronném zapatrywaniu się na życie.

Zdawałoby się że pod tym względem Anczyc lubuje się w badaniu tylko jednéj części społeczeństwa, że inne są dla niego niedostępne albo mniéj go nęcą.

We wszystkich jego mniéj więcéj pracach brak ten daje się uczuć.

Karykaturzysta wyborny, zręczny zbieracz charakterystyczny, chwyta jednak tylko powierzchowne cechy, nie zadając sobie trudu sięgania do głębi.

Ram używa zwykle przesadzonych. Czerpie głównie tylko z miejscowego żywiołu, ale znalazłszy grunt stosowny ciągle kopie w nim, nie oglądając się czy na prawo i na lewo nie istnieje obfitsza i głębsza kopalnia.

Może mu brak czasu na to poszukiwanie a może sił nie starczy.

W Anczyca pracach nie szukać tego co nazywają właściwie salonem. Wyższe sfery towarzystwa nie otwarły dla niego swoich tajników, wady i śmieszności tych ludzi zakryte są przed nim i nie kusi się nawet o pochwycenie ich. Dość mu wiejskiego żywiołu, gawiedzi ulicznéj, które zna i obrabia na wszelkie sposoby. Wzorki jakie z nich czerpie odznaczają się niezaprzeczoną prawdą życiową. Anczyca jako poetę pociąga głównie świat starożytny. Dzieje się to może dla tego, iż zabierając się do głębszych prac duchowych, pragnie on uczynić stanowczy odskok od tego, co go w zwykłém życiu jako pisarza wyłącznie prawie nęci i zajmuje.

* * *

Anczyca z Kostrzewskim łączy dziwne powinowactwo ducha. Często oni współpracowali razem i zgadzają się z sobą wybornie. Każdy utwór Anczyca przychodzi Kostrzewskiemu illustrować z najwyższą łatwością i zdawałoby się iż jeden jest dopełnieniem drugiego. Tomy też całe spisaćby można o ich wzajemnych stosunkach, o mistyfikacyach jakie wyprawiali jeden drugiemu, o figlach jakie sobie wzajemnie płatali.

Wspomnieć tylko Anczycowi o Kostrzewskim, już twarz jego uśmiecha się i sypią się zaraz tysiączne anegdotki, czerpane ze wspomnień łączących ze sobą malarza i autora. Kostrzewskiemu także ciągle jest na pamięci fizyonomia Anczyca, tyle razy ją w różnych karykaturycznych przemianach przedstawiał, że zdarza się nieraz, iż w nocy, kiedy we śnie ręka jego pochwyci machinalnie za kredę leżącą zwykle na stoliku przy łóżku, a zacznie kreślić bezwiednie na ścianie, z tych niesfornych kresek wydobywa się najwyborniejsza Anczyca podobizna....

SULAMITA. (*)

(Dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

I.

Siostro! — tyś dla mnie różaną jutrzenką,
Co zawsze świeższa i piękniejsza wschodzi
I żaden słowik nie śpiewa mi słodziéj,
Jak harfa twoją brzemienna piosenką..
I żaden kwiatek nie ma tyle woni,
Kiedy go wiosna - piastunka wypieści,
Ile się woni w każdym puklu mieści
Włosów, co płyną strumieniem z twéj skroni.
Siostro! — twe czoło białością aż mroczy..
Na niém, — jakoby na niebie, — łukami,
Brwi, jako chmurki nad dwiema gwiazdami,
Zawisły gęsto nad twojemi oczy.
Gdy krew przecudnych twych ust się rospali
Wzburzona ogniem całusów niekiedy,
Jakże mdłą, bladą i zwyczajną wtedy
Jest przy nich barwa sławiona korali!
Lica twe, Siostro, są jak z morskiéj piany,
Ząbki za wargą — jak śnieg, jako mleko, —
Równe — jak stadko owiec ponad rzeką,
Jasne — jak pereł sznurek nawlekany.
Pod mleczną szyją, jak dwie gołębice,
Piersi twe, Siortro, białe — przyczajone —
Drżące — ciekawe — czyste — nieskażone
Drzemią i.. krew mi uderza na lice!
Od twego tchnienia balsam na mnie wieje,
Uśmiech twój dla mnie jest jak słodka woda,
Którą się rzeźwi moja dusza młoda
Kiedy pod losów pociskami mdleje..
Lecz powiedz — czemu, gdy przy tobie stoję,
Patrząc z kochaniem na te wszystkie wdzięki
I drżąc, tak cisnę palce twojéj ręki
I drżąc tak tulę się na łono twoje,
Czemuś tak trwożna wtedy, tak nieśmiała?

Sulamita.

Bo ja się boję, aby to kochanie
Snem mi nie było — abym ci, mój Panie,
Być tak kochaną kiedyś nie przestała.

(*) Początkowe ustępy tego utworu drukowane były przed parą laty pod tytułem *Pieśni Wschodnich* po różnych pismach tutejszych. Dziś pracę tę, jako już zupełnie ukończoną, Radakcya „Opiekuna" podaje swoim czytelnikom w całości i dlatego jest zmuszoną kilka z drukowanych już poprzednio *pieśni*, powtórzyć.

JESZCZE

O HAMLECIE.

przez

BOGUMIŁA ASPISA.

(Dokończenie).

Hamlet po śmierci Offelii!..

Czy on sam umarł już nazawsze po téj śmierci?.. ciałem! ciałem!.. bo duch jego po zerwaniu ostatniego tego włókna, co go jeszcze przytrzymywało przy ziemi, tém większym, tém czystszym się staje.

Przepatrzmy.

Dobrze jest.

Ucałował grób kochanki i to jedyny całus, na który się w życiu całém zdobył. Pieszczota ta studzi też na wieki już jego usta, wargi, krew w policzku, wszystko, co w Hamlecie zmysłami, namiętnością i ciałem jest. Ucieka.. i tu właściwie skończyłbym już dramat.

Dramat?

Alboż Hamlet, taki dramat jak Hamlet, może być czémś inném jak.. tragedyą?

Prawidła sztuki wreszcie!

Toć piszę dla ludzi! bo dla mnie, dla mnie.. Czyż mi potrzeba Hamleta tego całego, mieć koniecznie nie w głowie a — na papierze!

Piszę dla ludzi!

Więc i zniszczyć trzeba to całe widoczne życie, które się toczyło z hukiem i wrzawą, pełne kontrastów, cnót i zbrodni, rozumu i głupoty (jak zwykle życie!) dokoła patrzącego na nie Hamleta.

Zbrodniarzy — trzeba posłać do piekła!

Swawolników — do czyśca!

A to wszystko sprawić.. przez *śmierć*, przez śmierć jednę tylko; przez to przynajmniéj, co się tak u ludzi nazywa!

Dzieje-ż się bo inaczéj i w życiu?.. na świecie?

A ja, cóż jestem, jeśli nie malarzem tylko?.. jeśli nie Hamletem?.. *plus* tylko mój własny talent układania tych oto nędznych dramatów, tragedyj i komedyj?

Akt piąty.

(I Szekspir pisze tu — pisze dość długo — aż nareszcie znów mówi:)

No — a teraz czy już wszystko?

Wszystko już.

(I składa kajet i chce wstać już z miejsca — lecz zatrzymuje się jeszcze:)

Aha! — (mówi) — drobnostka jeszcze.. a ważna jednakże — jak wszystkie inne i mniejsze daleko drobnostki!

Czy Hamletowi dać twarz bladą, oczy zapadłe, wzrost wysmukły, chorobliwość postaci?.. Czy też...

Chorobliwość postaci!

Jużci zwykle tego rodzaju ludzie mają różną postać od.. rzeźników, młynarzy i innych tam poczciwców. Lecz.. gdybym ja chciał w tém naśladować przykład, wzięliby to *naiwni* za otwarte oświadczenie się moje przeciwko indywiduom, jak Hamlet.

Tymczasem.. czyż ja chcę Hamleta zrobić *łazarzem ducha?* Czyż Hamlet dla mnie nie jest właśnie najwyższą, najzdrowszą mądrością?

Czyż przez spazmy a nie przez genijusz, sam genijusz tylko, charakter ten został tylko sobą — Hamletem?

Zresztą — czyż ja sam.. ja.. jestem znów tak mizerny? tak złéj tuszy?.. A przecie..

Lecz o tém — potém!.. Do rzeczy to nie należy i w rezultacie powiedziałem już, kto jest Hamlet.

Więc Hamlet ma być.. przy filozofii całéj swojéj.. tak.. dość krępy — dość tłusty — dość nalany, jak to mówią.. by mógł być więcéj *limfatycznym* niż *krewkim*, więcéj filozofem, myślicielem, niż — *marzycielem.*

Tak bo i trzeba!

No, a teraz.. czy już wszystko?

Wszystko.

I my też po tym monologu Szekspira, któryśmy podsłuchali i jak podsłuchali go, tak podajemy, — zamykamy gawędę tę swoję i mówimy: „Wszystko."

Chcąc zaś tylko jeszcze zreassumować w zdań parę całość treści niniejszego swego poglądu, aby przez to w zupełniejszym porządku stanąć wobec samych siebie, krytyki i publiczności, — dodajemy na zakończenie:

Hamlet — to uosobiona mądrość samego Szekspira.

Szekspir ma się tak samo do życia, do społeczeństwa, jak Hamlet do toczącego sią wkoło niego dramatu czyli *reszty akcyi* w tragedyi, któréj jest bohaterem.

* * *

Ukończywszy w ten sposób rozbiór saméj tragedyi Szekspira, jesteśmy w prawdziwym kłopocie, chcąc, po przedstawieniu jéj w teatrze tutejszym, którego byliśmy po kilkakroć widzami, dać wyobrażenie choćby najogólniejsze o grze artystów reprezentujących jéj role. Zakłopotanie to nasze nie pochodzi bynajmniéj z okoliczności, abyśmy w obec samych siebie nie mieli jasnego pojęcia o zaletach lub wadach gry każdego z powyższych artystów i potrzebowali chwiać się co do sądu swojego o nich ale z innéj zupełnie, mianowicie: że w tych krytycznych określeniach swoich o ile się na nie targniemy, zmuszeni będziemy zerwać niejeden listek z wieńca sławy, którym publiczność nasza obdarzyła już skronie artysty przedstawiającego rolę główną Hamleta i, co gorsza! zaprzeczyć mu nawet nietylko wszelkiéj zasługi w oddaniu swojéj roli, ale nawet wszelkiego prawa do porywania się na nią. Myślimy o p. Królikowskim.

Artysta ten, tyle już zasłużony scenie krajowéj i tyle skądinąd zdolny do wykonywania ról prawdziwie tragicznych, tu właśnie, jakby chcąc kłam zadać tym wszystkim, którzy w głębokość pojęcia jego o charakterze granych przez siebie roli wierzą, nietylko nie okazał tych przyznawanych mu powszechnie zalet, ale nadto zeszpecił nawet i zwichnął w roli swojéj to, co dla mniéj wytrawnych i młodszych od niego, nie byłoby trudném do oddania.

Sądzę, że samym rozbiorem tragedyi i kilkakrotném przedstawieniem tamże, jak sam Szekspir obowiązek grania ról utworzonych przez siebie, pojmować musiał,— uwalniamy się najzupełniéj od detalizowania tego, cośmy wyżéj powiedzieli. Kto bowiem pogląd nasz na tragedyę za słuszny i uzasadniony uzna, ten wiedziony już samą konsekwencyą rzeczy, nie będzie też mógł patrzeć się inaczéj na grę Królikowskiego, który z Hamleta zrobił coś zupełnie przeciwnego temu, czém jest według nas Hamlet i scharakteryzował go raczéj na Don Kiszota wmiejsce jak trzeba, na mędrca i filozofa.

Prof. Lewestam w rozbiorze gry aktorów Hamleta, pomieszczonym w Kłosach, nie pamiętamy w którym numerze, odmówił już Królikowskiemu tych zalet które mu inni, bezwzględni adoratorowie jego, przyznają,—lecz zrobił to delikatniéj jeszcze i z daleko większą chwiejnością, niż my to czynimy. Według nas bowiem, Królikowski gra tylko tam dobrze, gdzie sama już rola jego prowadzi go prawie za rękę i mówi za siebie. Gdy przeciwnie tam, gdzie ją właśnie pojąć dopiero i zgruntować, iż tak powiemy, trzeba,— doprowadza to subtylizowanie swoje aż do.. parodyi.

Hamlet w grze Królikowskiego, zamiast stać się waryatem, jest już nim od samego początku i my się istotnie dziwić potrzebujemy, poco nam Szekspir takie niedorzeczności pozostawił w spadku — Szekspir! — który konsekwencyę i logiczność koncepcyj swoich podniósł aż do.. *prawdy bezwzględnéj!*

Powiedziawszy to o Królikowskim, potrzebujemy-ż teraz z kolei chwalić panią Modrzejewską za grę jéj w roli Ofelii? Taż sama gra daje się ocenić z poglądu już naszego na całość tragedyi.

Naszém zdaniem, sam Szekspir nie odczuł i nie przeczuł Ofelii lepiéj od téj artystki i kto przyjął zdanie nasze o tragedyi, przyjmie i to drugie zarówno.

O innych artystach nic nie wspominamy, aby ich zanadto — nie przechwalić (!)

TEATRA OGRÓDKOWE.

(Dokończenie).

Eldorado! gdzież się podziała wiekopomna przeszłość twoja. — Już przebrzmiały twoje swywolne, ruchliwe, kuplety.

Już znikły twoje primadonny stéranym głosem nucące piosenki z tą drażniącą nerwy precyzyją i cieniowaniem parlanda, z tą wyrazistą zamaszystością giestów, którą tak roskoszowały się stępiałe i przesycone rospustą dusze.

Gdzież się podziali twoi karykaturalni komicy, przesadzający się w jaskrawości pajacowskiéj i akrobatycznych skokach..... gdzież twoja Gosz, Lagy, Viktor i Salomon, ci dzielni mistrze burzliwego, roskosznego kankana, téj korony każdego widowiska.

Gdzież teraz mieć będzie schronienie swoje warszawski demimonde, dla którego twój ogródek był pieluchami dzieciństwa, był pierwszym punktem publicznego zbioru, miejscem roskosznych rendes-vous, szrankami do upłątania niedoświadczonych w kupidynowe sieci.

To wszystko było onemi czasy.... a dzisiaj?— Dzisiaj Eldorado wypoczciwiało niezmiernie, zostało przytułkiem publiki należącéj do lepszéj części naszego mieszczaństwa.

Dzisiaj Eldorado nie proteguje wesołych drwin z moralności ale karze straszliwie na deskach swego teatru zbrodniarzy piekielnymi ogniami, a cnotę wieńczy w aureoli ogni bengalskich.

Zresztą w porównaniu z Tivoli Eldorado ma skromniejszą minę, chociaż dla widzów przedstawia więcéj wygody.

Przestrzeń zajęta miejscami numerowanemi zakreślona nie tak szeroko, przez co publika zbija się w jedną ściśnioną gromadkę, która w razach liczniejszego zebrania staje się zbitą niby grecka falanga. Niema tu daszka nad głowami, a jeśli deszcz nieproszony figla wypłata, wszyscy się cisną do przybocznéj, wąziutkiéj, długiéj sali, gdzie znajduje się estrada i scena tak miniaturowych rozmiarów, że zaledwie dwóch aktorów może się na niéj poruszać.

Obok tego w ogrodzie znajduje się dosyć jeszcze swobodnego miejsca z kilkoma cienistemi altanami, kędy dawniéj czułe pary, bez względu na krążącą publikę, w konfidencyonalnych przyjacielskich pozach wiodły ze sobą miłosne szepty. Teraz widocznie skrzydlaty amor uleciał ze swego raju! Kobiety kochliwe nie uczęszczają tutaj—ale takie tylko, które raz zająwszy miejsca, dosiadują spokojnie do końca.

Już to co prawda miłość nie kwitnie w Eldorado i na scenie. Ma ona tylko wybornego przedstawiciela swéj komicznéj strony w p. Tomaszewiczu zdolnym i wytrawnym artyście, który ze szczególném powodzeniem grywa role trzpiotów, elegancików, burszów, kochanków komicznych i innych śmiesznych młodzieniaszków. Łączy on swobodę, humor, werwę komiczną, z dystynkcyą i wytwornością. Nawet w grze farsowéj, szarzowanéj nie grzeszy karykaturalną trywijalnością. Głos jego wprawdzie suchy i matowy, mało dźwięczny ale oblicze wielce ruchliwe i charakterystyka szczęśliwa.— Obok tego p. T. probuje się czasem w poważniejszym dramacie. Widzieliśmy go w arcy-trudnéj roli rzeźbiarza marzyciela, w staréj, jednoaktowéj, idealnéj dramie p. t. „Arcydzieło nieznane"— gdzie brak dostatecznych warunków fizycznych bardzo zręcznie nagradzał niekłamanym zapałem, sumiennem wykończeniem roli, uwydatnieniem najsubtelniejszych szczegółów, i chociaż nie wyszedł zwycięzko ze zbyt trudnego zadania, jednak sprawiedliwie pozyskał serdeczny i gorący poklask ogólny.

Na nazwę artysty zasługuje także p. Zaręba, człowiek młody, pięknéj przyszłości. Posiada on, jak się zdaje, twórczość prawdziwą, która potrafi całkowicie zatrzeć indywidualność aktora na korzyść przedstawionéj roli. Głos jego dźwięczny chociaż surowy, dykcya dobitna, poprawna, sumienna, a charakterem gry całéj jest wyrazistość i precyzyja. Widzieliśmy go w dwóch odmiennych rolach: Salomona Oppenheimera, w komedyi, *Tylko jedno słowo*, którą szczęśliwiéj od p. Rapackiego odegrał, szczególniéj w główněj scenie, i w lichéj komedyi Skarbka „*Z siedmiu najbrzydsza*" gdzie karykaturalną jednostronnie i blado skreśloną figurę rządcy Przemianka potrafił podnieść do godności prawdziwego typu.—Z innych aktorów wymienimy jeszcze panów:

Holtzmana, Moszyńskiego i Puchniewskiego. Pierwszy grywa role kochanków niezbyt szczęśliwie, ale lekkie role udają mu się względnie, jakotako, pomimo pewnéj trywijalności dykcyi i giestów. Drugi grzeszy temiż samemi wadami ale ma więcéj naturalności, swobody i szczerego humoru. Specyalnością jego są role bandytów i hersztów rozbójniczych, które ratuje od zbytniéj grubéj przesady; wreszcie p. Puchniewski zapowiada pewne zdolności w dziedzinie charakterystycznéj, niższéj komiki— jak to szczególnie widać w roli mazgajowatego Plasia z „Piosnki Wujaszka" młodego Fredry.

Z personelu żeńskiego zasługuje na wzmiankę tylko jako wodewilistka pani Baranowska, o przyjemnym głosiku, posiadająca na scenie figlarną żywość i wesołość.

Pod względem reżyseryi i staranności wystawy Eldorado stoi na równi z Tivoli, ale repertuar posiada nieco odmienny chociaż mniéj urozmaicony. — Grywają tam wprawdzie takie potworności jak Ralf Rozbójnik— takie płaskie parodyje jak Don-Żuan, takie starzyzny jak Gałganduch,ale większa część widowisk poświęca się niższéj komedyi i od czasu do czasu sztukom cudownym. Spotkać się można także częściéj z oryginalnymi pisarzami, chociaż pod tym względem wybierają się rzeczy oklepane u nas albo niezbyt szczęśliwe.

Operetki kwitną także, podtrzymywane głównie przez p. Baranowską, chociaż ich wykonanie więcéj jeszcze niż w Tivoli sprawia niemiłosierną „rzeź uszom" mówiąc słowami Szekspira.

Alhambra jest trzecim z kolei ogródkiem pod względem komfortu urządzenia teatru i zakładu samego, ale najliczniéj ze wszystkich uczęszczanym; zawdzięcza swe powodzenie przedewszystkiem przystępności ceny, która zwabia tłumnie mniéj zamożne klassy niewybredne zbytecznie w ocenie gry artystów.— Trudno byłoby nawet wymagać od p. Stobińskiego, aby za te pieniądze mógł zebrać trupę zasobną i zdolną. Sam on, chociaż zapewne nie rości pretensyi do prawdziwego artyzmu, pracuje dużo, pracuje jak tylko umie najlepiéj i jest filarem swego personelu, odgrywając prawie wszystkie główniejsze role. Na wzmiankę zasługuje tutaj pan Szymborski, aktor istotnych zdolności, w jaskrawych komicznych rolach. (Szarucki i Łykalski, w Majstrze i Czeladniku — Protazy w Łobzowianach etc.). Wogóle, stosunkowo do zasobów, trudno odmówić Alhambrze dobrych chęci i gorliwości. Repertuar jéj najbardziéj swojski chociaż także bawi się czasem w melodramatyczność. Operetek tu nie grywają, ale za to od czasu raczą łakome oczy fragmentami choreograficznemi.—

Dwa pozostałe jeszcze ogródki: Elizjum i Grenada znajdują się widocznie w opłakanym stanie. Są one słabo oświecone, szczupłe i wązkie, teatrzyki arcy-skromne a publiczność..... bardzo niełaskawa. Zdarza się często że przedstawienia odbywają się w obec jakiéj czterdziestki widzów; zdarza się że aktorowie czekając na zgromadzenie liczniejsze publiczności, zmitrężywszy z godzinę, nie dają przedstawienia, albo też władza policyjna swoją interwencyją podbudza ich zapał ochłodzony pustkami w kassie i w ogrodzie.

W Elizjum gości niewielka trupa pani Carmantrant z któréj wymienić można panów Grossa i Konopkę, dosyć dobrze grających role ludowe.

W Grenadzie daje widowiska trupa p. Russanowskiego, któréj znów jedyną zasługą jest danie pierwszego początku widowiskom polskim ogrodkowym. Tam już zchodzi się publiczność najuboższa, z powodu ceny niepraktykowanie taniéj. — Miejsca numerowane oddzielone od nienumerowanych kratą wysoką, gęstą i krzepką.... widocznie dla powstrzymania przedsiębierczych widzów w przekraczaniu linii granicznéj.— Znajdują się tacy nawet śmiałkowie, którzy drapią się przez wysokie parkany sąsiednich ogrodów, aby użyć tanim kosztem artystycznych roskoszy.

Grenada odznacza się przedewszystkiem wytrwałém egzekwowaniem nieśmiertelnego Don Żuana i bohatersko-awanturniczych epizodów Rinaldiniego, któryby chyba powinien utonąć w morzu niepamięci.

Jeżeli teraz sumarycznie rzucimy okiem na działalność wszystkich ogródkowych widowisk, przyznać musimy że dla ogółu oddały ważną usługę, wyrugowawszy śpiewaków francuskich, gangrenujących tylko gust publiczności naszéj, która przy umiejętném kierownictwie mogłaby zasmakować prawdziwie w zdrowéj i posilnéj estetycznéj strawie. Jast ona dosyć świeżą, młodzieńczą, wrażliwą i nie potrzebuje dla rozrywki drażniących, narkotycznych widowisk,które szybko dając przesyt i zobojętnienie, powoli doprowadziłyby do potrzeby przedstawiania tak trujących fabrykatów jak np. wyuzdane przedmieściowe farsy paryskie.

Wszystkiemu stoi na zawadzie brak wyrobionego systematu— obrania pewnego kierunku i wytrwałego w nim postępowania. Zre-

sztą jest to wina pierwszych kroków stawianych dopiero w Warszawie jest to wina wadliwéj organizacyi teatrów prowincyonalnych, zmuszonych, z powodu konieczności bytu, schlebiać grubemu gustowi niedojrzałéj publiki. W Warszawie jednak tak być nie powinno.

Panowie Dyrektorowie bez uciekania się do utworów złego gustu mogą sobie wyrobić niepospolite powodzenie, które już teraz uśmiechnęło im się tak pięknie. Celem ich teraz jest przedewszystkiem zabawa dla saméj zabawy tylko— tymczasem każdy myślący człowiek zadanie sceny inaczéj cokolwiek pojmuje. Spodziewać się należy, że w przyszłości trupy dramatyczne rozwiną się z pożytkiem istotnym dla krajowéj sztuki i publiczności naszéj, — jednak uważaliśmy za obowiązek wytknąć im pewne niewłaściwe kroki, mogące sprowadzić na niebezpieczną pochyłość, u spodu któréj leży poniżenie prawdziwéj godności piękna, skażenie i splugawienie artystycznego zawodu. —

K . . . . . ki.

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Jeden z naibów podszedł do księcia z dziewięcią ludźmi, uzbrojonymi w strzelby.

—„Eliko (1) Orbeliani,“ rzekł doń, „Szamil rozdrażniony twoim uporem skazał cię na śmierć, zostawując ci jéj wybór.“

— „Wybieram tę, która mię najprędzéj uwolni od nudy być jego więźniem. Masz przy sobie zbrojnych ludzi, niech mię rozstrzelają.“

Po tych słowach postawiono księcia przy murze, wprost celki przez którą Szamil patrzał, nabito strzelby i wzięto na cel. W téj chwili pokazuje się Szamil, daje znak ręką i lufy karabinów opuszczają się na dół.

—„Eliko,“ odzywa się Szamil, „mówiono mi że jesteś mężnym! widzę teraz na własne oczy że mówiono prawdę. Nic więcéj nie wymagam od ciebie, jak twego słowa, że nie ucieczesz. Pod tym warunkiem jesteś u mnie wolnym.

Książę dał słowo i wkrótce był wymieniony na jeńców góralskich, przyczém Szamil, polubiwszy księcia, okazał się nawet mało wymagającym. Książę opuścił Weden po dziewięciomiesięcznéj niewoli, a górale zachowali nazawsze dobrą o nim pamięć.

Nic zatém dziwnego, że wiedząc o tém że książe był zabity w wojnie z turkami, chcieli widzieć żonę jego i dziecko. Więcéj jeszcze, ci ludzie okrutni zdobywając się na pewien rodzaj delikatności, pochodzącéj z pamięci wielkiéj odwagi, starali się różnymi sposobami cieszyć księżnę. Jedni mówili że jéj mały Jerzy to żywy portret ojca, że poznaliby go i w tedy, gdyby nie wiedzieli jego imienia. Drudzy utrzymywali, że mąż jéj nie był zabitym, a tylko jest uwięziony i że zobaczy go wracającego z niewoli tureckiéj, jak niegdyś od nich. Wszyscy, jednym słowém, okazywali téj kobiecie, która w ciągu dwóch dni tyle przeniosła, i z którą obchodzono się w drodze jak z niewolnicą, szczególne względy i uszanowanie, jakby jakiéj królowéj.

Księżna korzystając z tego dobrego usposobienia, zapytała otaczających ją ludzi, jaką cenę Szamil naznacza za wykup jéj, siostry i zabranych z niemi kobiet? Jeden z naibów poszedł do Szamila i wrócił z odpowiedzią, że imam chce, żeby Cesarz Mikołaj oddał mu syna, a książę Czawczawadze przysłał arbę, (2) pełną złota. Na tę wiadomość księżne spuściły smutnie głowy, uważając oba warunki jako niemożebne do spełnienia. (3).

Księżne nie wiedziały jeszcze że na roskaz Szamila miały być przewiezione do Wedenu. Daniel - Bek, stryj Mohamed - Chana, który służył u rossyan, znał ojca księcia Dawida Czawczawadze, a mieszkając czas jakiś w Tyflisie, wiedział o wszystkich zbytkowych potrzebach wielkich dam gruzińskich, bez których obejść się prawie nie mogą; czując zatem co muszą cierpieć księżne pozbawione zwyczajnych nawet wygód, śród dzikiego niemal ludu — prosił Szamila, żeby mu pozwolił wziąść je do siebie, na osobistą swoję odpowiedzialność. Ale imam odmówił, dodając, że kazał przewieźć je do Wedenu, gdzie będą podejmowane jak własne jego żony. Czegoż więcéj mogły żądać księżne? Wszak miano z niemi obchodzić się jak z żonami proroka...

Szamil kazał nadto powiedzieć księżnom, żeby o podanych przezeń warunkach napisały do Tyflisu. Oba listy, jeden do męża, drugi do Namiestnika Kaukazkiego, pisała księżna Czawczawadze. Listy te pokazano wprzód Szamilowi, który kazał je sobie przetłumaczyć, rozważał długo każdy ustęp i w końcu kazał je tatarowi odnieść do Tyflisu.

W trakcie tego księżne otrzymały rozkaz udania się do Wedenu. Nie mając sukien, prosiły Szamila żeby kazał im dać jakiekolwiek odzienie. Wkrótce też przyniesiono księżnom spodnie żeńskie, chustkę na szyję, stare ubranie furmańskie a po niejakim czasie palto męzkie. Księżna Czawczawadze wzięła spodnie dla siebie, chustkę i palto oddała siostrze, a ubranie furmańskie guwernantce francuskiéj. Księżniczka Baratow'a nic nie potrzebowała, bo prócz podartéj przez kolące krzaki zasłony, zostawiono na niéj całe odzienie jakie miała na sobie w Cynandałach.

Nazajutrz rano branki wyszły z fortecy tak samo jak były do niéj weszły, to jest, po drabinie. Szamil obawiając się podczas przeprowadzenia księżn do Wedenu napadu gruzinów lub rossyan, i chcąc uniemożebnić wszelkie pokuszenie na oswobodzenie zabranych w niewolę kobiet, kazał je prowadzić najprostszą, co znaczyło najprzykrzejszą drogą. Sam nawet pojechał za niemi, ale im się nie pokazywał. Przykrą rzeczywiście była ta droga, na któréj na każdym kroku niemal groziło niebespieczeństwo. To trzeba było wspinać się po ścieszkach, dla dzikich tylko kóz dostępnych, po usuwających się z pod nóg kamieniach, chwytając się za kolące krzaki, które raniły ręce;— to jechać po śniegu, głębokim mimo Lipca na łokieć, tak, że konie po pas w nim grzęzły; to znów zjeżdżać po stromych urwiskach kilkaset stóp na dół, zsuwając się często na rękach. A jednak prześliczną miejscami była dzika przyroda. Przejeżdzano przez roskoszne łąki, ubarwione rododendronami, różowemi i białemi gwiazdoszami i innymi pięknymi kwiatami.

W drodze z karawaną złączył się nowy więzień, młody książe Niko (4) Czawczawadze, wnuk brata księcia Dawida, wzięty w niewolę w jednéj z fortec, w któréj z trzydziestu gruzinami, w ciągu trzech dni, opierał się pięciuset oblegającym ją czeczeńcom, i nie pierwéj się poddał, aż nim ostatniego nie wystrzelił naboju. Książę zaopiekował się zaraz małą Maryą, którą posadził za sobą na koniu.

Zdarzało się, że nie zważając na roskazy Szamila i domagania się mułły, towarzyszącego brankom, mieszkańcy odmawiali im na noc schronienia; fanatyzm religijny nie dozwalał muzułmańskiéj ludności przyjmować do siebie niewiernych. Wówczas trzeba było sypiać gdzie i jak można było, czasem w napół zrujnowanéj sakli, jeżeli się takowa szczęściem po drodze znalazła, albo i pod gołém niebem, częstokroć w śniegu lub w wodzie.

Obie mamki nie miały więcéj pokarmu; księżna Czawczawadze musiała zatém pokolei karmić małego Aleksandra i Ewę, owę dzieweczkę, któréj matkę porzucono po drodze z Cynandał do Pochalskiéj twierdzy. Znużenie kobiet było tak wielkie, że przewodnicy sami uznali potrzebę choćby krótkiego wypoczynku. Zatrzymano się więc w jednym aule, w którym większą niż zwykle okazano im gościnność. Jakiś stary mułła przyjął do siebie księżne i ich kobiety; miał wprawdzie jednę tylko izdebkę na dziesięć do dwunastu osób, ale przynajmniéj była pod dachem. Mułła ten, który lat dziewięć mieszkał w Rossyi i mówił po rossyjsku, kazał rozesłać dla nich maty na podłodze i zabić na przyjęcie jeńców barana. Pierwszy to raz od swojego uwięzienia księżne jadły mięso. Dzieci szczególnie były przedmiotem pieszczot jego i zabiegów. Pewnego dnia, kiedy mały Aleksander płakał z głodu na kolanach matki, nie mogąc już poprzestać na piersi, w któréj pokarm był się przebrał, ani też ukąsić tego mięsa, które się nie żuje a rwie zębami, lub chleba czarnego i placuszka bez soli, tak dla nas niesmacz-

---

(1) Eljasz.

(2) Rodzaj wąskiéj kolasy, o dwu kołach, ciągnionéj przez woły.

(3) Miałem zręczność poznać w Temer-Chan-Szurze oficera ormianina tłumacza przy księciu Melikonie, który był posyłany jako tłumacz i parlamentarz do Szamila, przy wymianie księżnéj Czawczawadze i księżnéj Orbeliani, Istotnie, Szamil wymagał za nie z początku, prócz syna, milijona rubli, ale poprzestał w końcu na czterdziestu tysiącach.

(4) Mikołaj.

nych, mułła poszedł do chłopczyka i włożył mu w rękę 20 kopiejek. Księżna zarumieniła się i chciała oddać pieniądze, ale mułła zatrzymując jéj rękę, rzekł: — „To na kurę dla niego, z któréj można będzie ugotować mu rosół.“ — Podziękowawszy starcowi, księżna ścisnęła go za rękę.

Czasem zamiast tych oznak spółczucia branki musiały znosić pogróżki i obelgi, od kobiet zwłaszcza. Raz po drodze jakaś stara tatarka, syn któréj był zabitym w potyczce z rossyanami, podeszła z całą czeredą kobiet do księżnéj Orbeliani i grożąc jéj pięścią zaczęła mówić: — „O dniu zemsty, ty jesteś pięknym dniem! Miałam syna, któregom tak kochała, który był moją chlubą i dumą, rosssyanie go zabili. Allach jest wielki, Allach jest sprawiedliwy, Allach mię pomścił!“ — Dla téj kobiety branki były rossyanami. Księżna Orbeliani zażądała wiedziéć co mówiła tatarka, a kiedy przetłumączono jéj słowa, rzekła: „Przetłumaczcie jéj moję odpowiedź. Śmierć nie może wrócić życia; zabij mię, a syn twój zawsze i tak żyć nie będzie. Turcy zabili mego męża, który był sercem mego serca. Syn mój jest w niewoli; moja siostra, moja siostrzenica i ja jesteśmy w mocy Szamila; kto, ty czy ja mamy więcéj powodów na los swój skarżyć się? Idź więc z Bogiem, biédna kobieto, porzuć gniew twój i wyrzuć z serca nienawiść. My mamy innego Allacha niż twój, Allacha matek, który jest Allachem zmiłowania i przebaczenia.“ — Odpowiedź księżnéj dosłownie przetłumaczono tatarce, która wysłuchawszy jéj spuściła na oczy zasłonę; żeby ukryć łzy i odeszła powoli w milczeniu.

We dwa tygodnie po opuszczeniu twierdzy Pochalskiéj, podczas gdy karawana zatrzymała się w jednéj z tych cudnych oaz, które góry kryją w swém łonie, na zielonym kobiercu, usianym niezapominajkami, żółtymi fijołkami i białymi gwiazdoszami, jakiś tatar przyjechał konno, szukając księżnéj. Był to ten sam posłaniec, który woził listy do Tyflisu i przyniósł na nie odpowiedź księcia Orbeliani, szwagra księżnéj Barbary. List brzmiał następnie: „Wierzcie, czekajcie i miejcie nadzieję, wszystko co tylko możność pozwoli zrobi się, żeby wolność wam wrócić.“ Odpowiedź ta napełniła otuchą serca najbardziéj nawet upadłych na duchu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ
JULJI KAVANAGH.
TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Wistocie, muszę cię prosić Sybillo żebyś mnie zostawiła samą, a jak zejdziesz na dół, bądź łaskawa prosić ojca odemnie o kilka minut rozmowy, w salonie, w jadalni, czy gdziekolwiek.

Sybilla dotknięta wyniosłym tonem ciotki, zwróciła się ku drzwiom. Miss Glyn zawołała ją znowu.

— Tylko mi nie przysyłaj z odpowiedzią téj wytrzyszczowatéj francuski, ani tego pogańskiego chłopca, Adonisa.

— Narcyza, — poprawiła Sybilla, — nie, ciotko, sama przybędę.

Zeszła na dół zmięszana i niespokojna, ale miss Glyn pozostała zupełnie pewną siebie. Przybyła pocztą z Londynu do Saint-Vincent umyślnie po to, żeby stąd wygnać brata pana Kennedy. Od pani Mush dowiedziała się o tym nowym gościu w Saint-Vincent, a miała mu więcéj jeszcze daleko niż panu Smith do wyrzucenia. Ale trudne to zadanie wyganiać z obcego domu ludzi, choćby do tego najgruntowniejsze były racye; i jakkolwiek pewna siebie, Miss Glyn trochę się zaniepokoiła, gdy Sybilla wróciła z oświadczeniem, że pan Kennedy czeka ją w salonie,

— Dobrze, moje dziecko, — rzekła, namyślając się wobec nadchodzącéj walki—idę. — Czekała jednak dopóki nie ucichły kroki odchodzącéj Sybilli.

Gdy nareszcie panna Glyn weszła do salonu, znalazła oczekującego ją Kennedego, uśmiechniętego tak słodko, jak gdyby ani wiedział, ani zgadywał po co go wołano. Miss Glyn postanowiła być zimną, przemawiać pańskim tonem, bardzo grzecznym, ale zarazem bardzo stanowczym; tymczasem uśmiech Kennedego tak ją rozdrażnił, iż wybuchła odrazu gwałtownem zapytaniem.

— Panie Kennedy, co to za człowiek?

Kennedy zrobił minę niezmiernego zadziwienia. Nie rozumiał kogo miss Glyn miała na myśli.

— Ten człowiek którego widziałam na dole, panie Kennedy?

— Pani mówisz o moim bracie Edwardzie?

— Brat! — pan nie masz brata! wrzasnęła miss Glyn, — i ja wiém o tém.

— Nie pojmuję jak pani, lub ktokolwiekbądź może wiedzieć coś podobnego — zimno odparł Kennedy.

— Nikt nigdy nic o nim nie słyszał, dopóki tu nie przybył.

— Kochana pani nigdy o nim nie słyszałaś, ale upewniam cię że Edward nim doszedł do lat obecnych, był widziany i znany.

Mówił z tak zuchwałym spokojem, że panna Glyn zmięszała się nieco.

— Panie Kennedy, rzekła po namyśle — kiedy pani Mush w Londynie mówiła mi że brat twój przybył tutaj, przyznam się sądziłam że komponuje, jak to jest jéj zwyczajem — bo naturalnie, osoba która mówi tak dużo jak ona, musi komponować; ale że każde zmyślenie na czémś jest oparte, przybywając tu sądziłam że znajdę coś podobnego do owego nieszczęsnego Smihta. Nie byłam jednak przygotowaną na to co znalazłam. Jak możesz oszukiwać własne swoje dziecię i trzymać kogoś w domu pod pozorem że to jéj stryj? tego nie rozumiem. Bądź co bądź, Sybilla jest moją siostrzenicą; ostrzegam więc pana że zostanę tutaj i będę się nią opiekować. Chyba że mnie wypędzisz...

Twarz Kennedego świadczyła że jest cierpliwym człowiekiem i że może się powściągać nawet w trudnych okolicznościach. Gdyby go kto obserwował w chwili kiedy słuchał oświadczeń swéj ciotecznéj siostry, przyznałby, że niedaremnie się chwali. Uśmiech grzeczny i przyjacielski pozostał na jego twarzy, ale w oczach widać było zakłopotanie. Słowa jednak jego odpowiednie były do wyrazu twarzy.

— Kochana Maryo, rzekł uprzejmie — czyż możesz być tak niesprawiedliwą i przypuszczać iż nie życzę tu sobie twojéj bytności? Wistocie Sybilla trochę zdziczała podczas gdy ciebie nie było, i bardzo rad jestem z twego przybycia. Była na balu i miała znakomite powodzenie, większe nawet niżbym tego sobie życzył. Dano mi do zrozumienia u pani Ronald, że mogę dla méj córki znaleźć partyę, jeżeli sobie tylko tego życzę, a że naturalnie ona jeszcze za młoda...

— Nie sądzę — sucho przerwała miss Glyn;—i zważywszy szczególne okoliczności, może należałoby ją wydać za mąż jak najprędzéj — rozumie się, wydać dobrze.

— W istocie, rzekł poważnie Kennedy. — I dodał po chwili: może masz racyę. Pomyślimy o tém.

Ale właśnie taka uległość w mowie obudziła podejrzliwość panny Glyn. Przenikliwe czarne oczy swoje wlepiła w pana Kennedy i rzekła tonem ostrym, stanowczym:

— Ostrzegam pana, że będę obserwować tego człowieka.

— Cieszę się z przybycia pani, odpowiedział grzeczny braciszek.

Miss Glyn osądziła, iż lepiéj zrobi nie nalegając więcéj. Skłoniwszy się zatem z powagą, opuściła salon i udała się do swego pokoju.

ROZDZIAŁ XII.

Tego samego jeszcze wieczoru miss Glyn zajęła swoje obserwacyjne stanowisko. Zeszła do biblioteki z postanowieniem wykrycia jakiéj wielkiéj wady, nałogu lub złośliwości samozwańca — tak bowiem w myśli nazwała stryja Sybilli. Ale doznała zawodu. Zachowanie się stryja Edwarda było wzorowe. Względem Sybilli był uprzejmy ale bynajmniéj nie roskochany. Czasami napominał ją dotkliwie i surowo; słowem, w postawie, mowie i obejściu był najzupełniejszym stryjem.

— Umie udawać — myślała sobie miss Glyn, rzucając na niego jadowite spojrzenia, które przerażały Sybillę, ale z których stryj Edward nic sobie nie robił.

Następny dzień jeszcze bardziéj zaniepokoił pannę Glyn. Dowiedziała się bowiem od Sybilli o bliskiém przybyciu panny Cains i o zamiarze pani Ronald wydania balu, na który zaproszenie otrzy-

mała Sybilla, jéj ojciec, miss Glyn i stryj Edward. — I musisz z nami iść ciotko! — dodała Sybilla.

Tak więc, — myślała sobie zmartwiona miss Glyn — samozwaniec wystąpi jako jéj stryj a brat jego i nigdy już nie będzie można zatrzeć wrażenia jakie to uczyni.

Miss Glyn szukała w myśli sposobu niedopuszczenia iżby Sybilla okazała się tam z „samozwańcem,“ ale pozbawiona umysłu wynalazczego skończyła tylko na tém, że udała słabą i położyła się do łóżka, właśnie, gdy Sybilla zaczęła się ubierać.

Sybilla oświadczyła się z gotowością zostania w domu i doglądania ciotki, ale ojciec, zapewne wiedzący dobrze co trzymać o chorobie miss Glyn, krótko zapowiedział córce, żeby ani myślała o pozostaniu w domu.

— Tak mnie to martwi ciotko, że nie możesz iść z nami — rzekła Sybilla, stojąc przy łóżku miss Glyn i nakładając piękną, złotą bransoletkę, najnowszy podarunek ojca... Ze wszystkich stron zawód. I stryj Edward oświadczył że nie pojedzie... w ostatniéj godzinie.. to oburzające!

— A dla czego nie chce jechać? ostro zapytała miss Glyn, zła że nie wiedziała prędzéj o tém.

— Powiada że nie lubi balów. Ale to nieznośnie. Cały dzień obiecywał mi że będzie moim tancerzem. Tym bardziéj mnie to smuci że nie będę mogła tańczyć walca. Francuskie panny, według tutejszego zwyczaju nie tańczą go, a pani Ronald nie chce im robić naprzekór — mogłabym więc tańczyć walca tylko ze stryjem. Ale wtedy dopiero oświadczył że nie pojedzie, kiedy ciotka położyła się do łóżka, z powodu tego nieznośnego bólu głowy.

— Na złość mnie tak zrobił — pomyślała miss Glyn, rozgniewana.

Gniew i upokorzenie doznane nabawiły ją istotnie bólu głowy. Sybilla zeszła na dół zmartwiona cierpieniem ciotki, zawiedziona w nadziei tańczenia walca ze stryjem, ale mimo to w dobrém usposobieniu. Przecież szła na bal, gdzie będą ją uwielbiać i otaczać pochlebstwami. Skończywszy gotowalnię zwróciła się do salonu. Brała już za klamkę, gdy usłyszała głos ojca:

— Tak więc Edwardzie, musisz iść.

Na co stryj Edward rezolutnie odpowiedział:

— Nie chcę.

Gdy nieco zaniepokojona Sybilla weszła do salonu, ojciec jéj stał z listem otwartym w ręku i, jak to odrazu spostrzegła, nie był na bal ubrany. Widząc jéj kwaśną minkę rzekł:

— Nie mogę ci towarzyszyć Sybillo — bardzo nagły interes zatrzymuje mnie dziś wieczór w domu; ale stryj pojedzie z tobą.

I nie dając czasu na odpowiedź, dokończył tych słów we drzwiach i wyszedł, zmuszając niejako stryja i siostrzenicę do załatwienia téj delikatnéj materyi między sobą. Sybilla usiadła zmartwiona, nie mówiąc ani słowa. Stryj Edward wstał i przystąpił do niéj.

— Przyznaj Sybillo że masz mnie za potwora? rzekł, starając się nadać wesoły ton rozmowie.

Sybilla zrobiła głową znak przeczenia. Naturalnie była zmartwiona, ale nie myślała nic podobnego.

Stryj Edward przeszedł się po pokoju i wrócił do niéj. Miał minę zakłopotaną.

— Pragnąłbym ci zrobić przyjemność — rzekł — pragnąłbym iżby twoja ciotka nie miała tego nieznośnego bólu głowy i ażeby twój ojciec mógł ci towarzyszyć.

— I jakiż pożytek z tych pragnień? zapytała Sybilla z niechęcią.

— Sądzisz że powinienem ci towarzyszyć, Sybillo.—Ja niemogę, nie powinienem...

— I nie chcę, dodaj stryju.

— Moja droga, toby było niedobrze, bardzo niedobrze. Ojciec twój tak skłonny jest do zadawalania twoich zachceń, że mniéj zważa na inne względy; ale mnie bardziéj chodzi o twoje dobro niż o przyjemność.

— O tak, wiem — rzekła Sybilla rozdrażniona — zapewne powinnam bardzo być obowiązaną stryjowi, ale nie jestem. Mógłbyś mnie obdarzyć wesołym wieczorem i nie chcesz zrobić tego. Rozumie się, sądzisz że to dla mego dobra, ale ja nie widzę jakim to ma być sposobem i dla tego też nie mogę czuć żadnéj wdzięczności.

— Sybillo, nie bądź niesprawiedliwa.

Siadł przy niéj i chciał ująć jéj rękę, ale Sybilla udała że nie widzi tego ruchu pojednawczego.

— Sybillo, nie kuś mnie — rzekł z wymówką.

Usłyszawszy to Sybilla, właśnie zaczęła go kusić.

— Drogi, dobry stryjaszku, rzekła, zwracając do niego twarz z przymileniem; — tak będę cię kochała, tak będę szczęśliwa, jeżeli mnie na ten bal zaprowadzisz. O, zrób to dla mnie. Tyle tylko tańczyć będę ile mi pozwolisz.

Były pewne racye dla których stryj Edward nie chciał iść do pani Ronald, ale pragnął także i utrzymać dobry stosunek z Sybillą. Na chwilę zwolniał w oporze i rzekł z uśmiechem „dobrze;“ poczem zerwawszy się nagle z miejsca, zawołał: „nie.“

— To szkaradnie, — zawołała Sybilla, któréj łzy trysnęły z oczu.

Stryj Edward patrzał na jéj dziecinne zmartwienie, ale aż było ono dziecinne więc i nie wpłynęło na zmianę jego postanowienia. Jeszcze płynęły łzy Sybilli na małą batystową chusteczkę, gdy zastukano do drzwi. Weszła Deniza, a za nią pani de Lonville. Zawstydzona Sybilla zerwała się czemprędzéj, a widząc że pani de Lonville była wystrojona, widocznie na bal wybrana, rzuciła się ku niéj pełna nadziei.

— O, kochana pani de Lonville, zawołała łamaną francuszczyzną, weźmiesz mnie do pani Ronald? Ojciec i stryj nie mógą a ciotka jest słaba. Musiałabym zostać w domu. Jeżeli pani kareta jest zawąska to nasza dość szeroka. Wszak weźmiesz?

Pani de Lonville przez chwilę stała zdziwiona taką gwałtowną i zupełnie niewłaściwą przemową; ale wkrótce opamiętała się Sybilla i zawstydzona prosiła ją o przebaczenie. Pani de Lonville usiadła i spojrzała po salonie, tak, jakby oglądając się za panem Kennedy.

— Ojciec zajęty — rzekła Sybilla przygnębiona myślą, iż pani de Lonville przybyła w interesie — ale oto stryj.

Sztywny ukłon i zimne spojrzenie wymieniono, poczem pani de Lonville, pokasłując nieco, rzekła ostrożnie:

— Tak się cieszę że pani nie pojechałaś — bałam się o to...

Sybilli serce bić zaczęło. Więc nie po nią przybyła pani de Lonville...

— Przybywam z przyjacielską missyą — mówiła daléj pani de Lonville, ale nie wiesz pani jak trudno mi się wyrazić, naprawdę.

Sybilla patrzała na nią z niepokojem. Pani de Lonville mówiła daléj:

— Przed samym wyjazdem otrzymałam wizytę pewnego pana, który nie chce żeby wymieniano jego nazwisko. Dowiedziałam się od niego, moja droga, że lepiéj zrobisz jeżeli nie pojedziesz dziś do pani Ronald.

— I dla czegoż to? zapytała zarumieniona Sybilla.

— Moja kochana panno Sybillo, pani Ronald od wielu lat starała się jednoczyć swoich francuskich i angielskich przyjaciół, nigdy jéj się to nie udawało, aż do owego wieczora kiedy twoje powodzenie zjednało wszystkie kobiety przeciw tobie. Była tam prawdziwa rewolucya po twoim odjeździe: panie nie chciały tańczyć ażeby ukarać panów. Widzę jak jesteś tém dotkniętą, to przykre; ale ponieważ ściągnęłaś wszystkich tancerzy do siebie, postanowiono więc, że na przyszły raz nie będziesz miała ani jednego. Jeżeli więc dziś udasz się do pani Ronald, nikt cię nie zaangażuje do tańca.

— Pojadę więc — zawołała wzburzona Sybilla. Nie zostanę w domu dla tego żeby się uznać zwyciężoną.

— Ale, droga pani, — nalegająco mówiła pani de Lonville, — pomyśl jak to okropnie być przedmiotem szyderstwa całego salonu. Wszystkich panów — wszystkich z wyjątkiem, jednego, który wykrył mi tę intrygę — skłoniono do obiecania, że cię nie będą angażowali. Panie oświadczyły, że jeżeli panowie nie złożą takiéj obietnicy, wtedy wolą raczéj nigdy nie tańczyć, niż znosić taki afront jak owego wieczoru. Uważam to za prawdziwie opatrznościowe zrządzenie, iż młody człowiek który przyszedł do mnie z informacyą, z powodu lekkiego przypadku nie mógł iść na bal, gdyż inaczéj nie byłby do mnie przyszedł z opowieścią. Miał zamiar tańczyć z panią i pomścić cię tym sposobem, jak powiadał, ale wyszłoby na to iżby cię tylko skompromitował. Cóżby bowiem świat powiedział gdybyś tańczyła na wieczorze z jednym tylko ładnym chłopcem?

Sybilla nie odpowiedziała nic — słów jéj zabrakło. Piewszą walkę stoczyła ze światem i zwyciężoną została. Spełniła to, czego nikt nie mógł dokazać: zjednała dwa antagoniczne stronnictwa. Gorzka to była pigułka. A tymczasem zdradliwa pani Ronald, która wiedziała o intrydze, cieszyła się nią, chętnie poświęcała Sybillę na łup jéj nieprzyjaciół, byle dopiąć swoich widoków. Wiedziała o tych widokach pani de Lonville, wiedział i stryj Edward, słuchający w milczeniu jéj opowiadania. Wiedział więcéj. Pod-

czas gdy pani de Lonville mówiła, nie spuszczał z niéj przenikliwych szarych oczu i czytał w jéj twarzy jak w książce. I z żalem dodać musimy, że powieść jaką w niéj wyczytał niebardzo mu się podobała.

— Panna Kennedy mocno jest pani obowiązana — rzekł poważnie, — ale jak pani widzisz i tak miała nie być na balu. Może pani będziesz łaskawa powiedzieć pani Ronald, jaki zbieg drobnych przeszkód pozbawił nas przyjemności widzenia jéj dziś wieczór...

Pani de Lonville chętnie podjęła się téj missyi. Wstała i pożegnała się z ciężko zmartwioną Sybillą.

— O, panna Kennedy jeszcze potrafi się zrewanżować — wesoło rzekł stryj Edward; — sądzę iż gdy będzie wiadomo że i jéj ojciec zamierza wydawać bale, usposobienie mocno się zmieni.

— Niezawodnie, sądzę że to nastąpi, — rzekła pani de Lonville; — wszak w Saint - Vincent salon jest obszerny. Nie martw się kochana pani — to chmura tylko, która prędko przejdzie.

Wyszła. Sybilla tak była znękana iż nie mogła jéj odprowadzić, ale stryj Edward dopełnił tego obowiązku, z wyszukaną grzecznością.

— Stryju, żadna z tych panien nie wejdzie do tego domu — zawołała Sybilla, z błyszczącemi oczami — nigdy nie zniosę ich widoku. Co? wszystkie przeciwko mnie? Na to nie zasłużyłam. I mężczyzni wszyscy — jeden tylko nie był tchórzem.

Wargi jéj drżały z oburzenia. Czuła się pokrzywdzoną. Raz oświadczała „że ani na włos nie dba oto" — drugi raz znowu „że w życiu jeszcze nie przepędziła tak szkaradnego wieczoru."

— Nie mów dopóki nie przejdzie — rzekł stryj Edward, spoglądając na zegarek — nie ma jeszcze dziewiątéj godziny.

— O, stryju, zawołała Sybilla, a oczy jéj zabłysły, — czy sądzisz że Blanka przyjedzie?

— Zdarzają się niespodzianki codziennie — odpowiedział.

— Ale jakimże sposobem mógłbyś wiedzieć?

— Takim sposobem, jakim dowiaduję się o tysięcznych rzeczach, o których waszmość panna nie masz wyobrażenia. Ptaki w powietrzu dają mi doniesienia. Twoja kotka Minetka opowiada mi różne historye; krzesła i stoły zwierzają mi swoje sekrety, słowem, mam do tego różne sposoby i drogi.

— Mój stryju, w doskonałym dziś jesteś humorze — rzekła Sybilla, wyglądasz o dziesięć lat młodszy.

— Czy tak? To chyba dla tego że napadł mnie duch proroczy — lub też może to sprawia nadzieja widzenia nieporównanéj Blanki.

— Ona jest nieporównana, — zawołała Sybilla; — i jeżeli przybędzie dzisiaj, będę się cieszyć z tego żem została w domu.

— Ale pamiętaj o téj szkaradnéj intrydze.

— Pogardzam nią. Tak samoby Blanka zrobiła. Śmiejesz się stryju? Przyznaj iż uprzedziłeś się względem biednéj Blanki.

— Nie, tylko ja mam swój sposób tworzenia opinii o ludziach.

— Nie boję się o nią — zawołała Sybilla z zapałem — nie, stryju, nie możesz sobie wyobrazić jaką ona jest...

— Niezawodnie — ale im bardziéj ją chwalisz, tym bardziéj uwielbiam ciebie. Widzę iż masz jednę z najszlachetniejszych natur jakie znałem.

Sybilla spojrzała na niego z zadziwieniem. Oczy jego błyszczały, gdy blada twarz zarumieniła się nieco. Malowały się na niéj: czułość i uwielbienie.

— Moja droga Sybillo, rzekł, biorąc ją za rękę i ściskając w swojéj — świat bywa często okrutny. Świat może ci kiedyś powiedzieć że stryj Edward nie oceniał cię należycie; nie wierz temu Sybillo, nigdy nie wierz. Ale wierz mi, gdy ci powiem że kocham cię prawdziwie i czule — jak żaden brat swojéj siostry mocniéj nie kocha.

— Ani stryj siostrzenicy — rzekła wesoło Sybilla.

— Lata nasze stawią nas raczéj w położeniu brata i siostry, niż stryja i siostrzenicy — odpowiedział — i nie tyle wymagam od ciebie uszanowania, ile zaufania i uczucia.

— Dobrze, powiem ci więc coś stryju,—rzekła poufnie Sybilla, przysuwając krzesło.

— Słucham.

— Z początku nie lubiłam cię wcale — jeszcze nimem cię widziała — potém przez dwa dni lubiłam cię.

— A potém?

— Potém pogniewałam się na ciebie, potém polubiłam znowu, a teraz kocham cię zupełnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWINY.

Nakładem Sennewalda wyszedł niedawno na widok publiczny mazurek do śpiewu p. t. *Matuleńko*, skomponowany przez p. Wł. Krogulskiego.

Miasto Dobromil (w Galicyi), o sześć mil od Przemyśla położone, spłonęło dnia 5 b. m. do szczętu; — 300 osób zostaje bez dachu.

Dnia 12 b. m. zakończone zostały przedstawienia teatralne po tutejszych ogródkach, z wyjątkiem teatru niemieckiego w Alkazarze. Truppa pana Trapszy z Tivoli udała się do Lublina, a Ratajewicza z Eldorado do Siedlec.

W Nowym Sączu otwarte zostało d. 1 Września r. b. Seminarium nauczycielskie.

Targ na placu Trzech Krzyży ma być usunięty w połowie Października r. b.

W teatrze Krakowskim grać mają dramat osnuty na poemacie Malczewskiego: *Marya*.

W niedzielę t. j. d. 18 b. m. odbył się ostatni w tym roku koncert orkiestry Bilsego w Dolinie Szwajcarskiéj.

W Łęczycy otwartą została w tych dniach Szkoła Pedagogiczna.

Podług wiadomości statystycznych, ludność Warszawy w r. 1869 wynosiła ogółem 240,935 dusz. Z tych, mężczyzn było 110,998, kobiet 129,937. Pomiędzy niemi katolików było 144,553, prawosławnych 5,274, grekounitów 106, wyznania ewang. augsbur. 11,458, ewang. reformow. 1,223, braci moraw. i menon. 20, żydów 78,283, mahomatan 18.

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu A. Gos. Zeszyt utworów Pańskich znaleźliśmy teraz dopiero w przekazanych nam od byłego wydawcy rękopismach i, ponieważ jest w nim więcéj *wierszy* jak *poezyi*, więcéj *poczciwości* niż *talentu*, — przeto z całém dla autora uznaniem, chcielibyśmy mu odesłać zeszyt rzeczony.

Panu A.. mu z nad Buga. Na zarzuty pańskie co do nieustalenia się jeszcze prawideł ortografii w języku naszym zgadzamy się najzupełniéj, nie możemy jednakże drukować Jego listu, ponieważ treść tegoż obraża zbyt dotkliwie jedno z pism tutejszych, które pomimo początkowego antagonizmu jego z nami, bardzo szanujemy.

Kurjerowi Codziennemu. Rozumiemy polemikę lecz.. nie możemy się dla kilku zdań gładko ostruganych a tchnących żółcią (którą zresztą tym razem uwzględniamy) wyrzec własnych przekonań o czémkolwiek, témbardziéj zaś o rzeczach literatury. Zarzucając zatém małą tylko nieloiczność i brak konsekwencyi raz jeszcze Kurjerowi Codziennemu w nazywaniu *niewylonionymi* utworów, które jednakże *wylonionymi* już być musiały skoro były wydrukowane, — mamy honor go uwiadomić, iż autorem prowadzącym rubrykę *prassy peryodycznéj* w piśmie naszém jest jeden z najardziéj *znanych* i *uznanych* w kraju talentow i że, jeśli Kurjerowi chce się o tém dowiedzieć, pisze już od lat trzydziestu, a ma wieku ni mniéj ni więcéj jak—lat 50 — młodzieniaszek!

Zarzut, iż nie dość jeszcze staramy się o dobre artykuły dla czytelników swoich, przyjmujemy do serca i szczerze będziemy chcieli jak najmniéj na niego zasługiwać. Tymczasem zaś.. ponieważ *początek każdy trudny*, niechże *dobroć* Kurjera Codziennego będzie — *łatwiejsza*.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 6 (18) Сентября 1871 г. Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.